

LUDZIE Z OKRAGŁEJ WIEŻY

(Korespondencja własna „Nowego Świata”)

Drogi wodne dużego portu stanowią skomplikowany labirynt. Jeżeli statek niewielki i płytko zanurza się w wodzie, to jeszcze pół biedy. Ale kolosy o wyporności 10, 15 czy 20 tysięcy ton z trudem znajdują drogę w wąskim farwaterze. Dlatego każdy kapitan jednostki wpływającej do portu, wywiesza na maszcie flagę, która według Międzynarodowego Kodu Flagowego oznacza literę „G” — proszę o pilota. Piloci znają port jak własną kieszeń, oni wprowadzają więc i wyprowadzają statki; w czasie manewrów wśród kanałów portowych pilot na pokładzie statku jest „pierwszym po Bogu”. Siedzibą pilotów jest okrągła wieża Kapitanatu Portu.

Chłopiec z Szamotuł otwiera szeroko oczy, opiekun wycieczki boi się, że uczniowie potopią się w kanale, bruchaty dyrektor ze stolicy lekceważąco wzrusza ramionami; „ach, nie takie rzeczy się widziało!” — angielski marynarz, który zabił się tu przypadkowo lustrując sylwetkę stojącej obok dziewczyny i wcale nie patrzy w tamtą stronę. Wzdłuż Motławy, furko cząc różnobarwnymi banderami, płynię długiego szeregu motorówek, łodzi, żaglówek i białych stateczków. Na brzegu gra orkiestra — tram, tararam — od Westerplatte i dalekiego Oksywia huczą wystrzały. Święto Morza!

Na okrągłej wieży nikt nie interesował się Świętem ani wycieczką z Szamotuł.

Zwykły dzień pracy portu. Obserwator podnosi słuchawkę telefonu: „halo, panie Marcinkowski, statek na redzie”, prawie jednocześnie terkocze dzwonek radiotelefonu: „halo tu Gdynia, na redzie w Gdańsku Szwed „Sumatra”, proszę o pilota”. „Już idzie pilot” — odpowiada pan Marcinkowski.

Pan Marcinkowski jest dyżurnym oficerem portu i na nim spoczywa odpowiedzialność za jego prawidłowe funkcjonowanie. Przed chwilą miał wielki kłopot; z nadbrzeża śląskiego wyprowadzano barkę załadowaną dynamitem, transportowaną na ładujący na pełnym morzu statek. Taka barka wymaga delikatności, niech by wyleciała w powietrze! Pan Marcinkowski ociera pot z czoła: „Na „Sumatrę” popłynie starszy pilot Majewski”.

Schodzimy na dół, gdzie u stóp wieży Kapitanatu cumują pilotówki. Szyper zapuszcza 160-konny motor, motorówka drży, zdejmujemy cumy i płyniemy na redę, czyli część zatoki położoną przed wejściem do portu, w kierunku oczekującego szwedzkiego drobnicowca.

Stateczek nazywa się „Pilot 23” i jest najelegantszą pilotówką w całym porcie gdańskim. Zbudowany został w 1953 r. w Szwecji i posiada pięknie wykonane wnętrza: dwie jednoosobowe i jedną podwójną kabinę, kuchnię, centralne ogrzewanie, własną krótkofalówkę oraz przedział z dyskretnym „WC” na drzwiach.

Dawniej po pilota wysyłano ze statków łodzie, dwumę-

stwu marynarzy pocili się przy wiosłach, dziś obsługa „Pilota” składa się z czterech osób: szypra — kierownika jednostki, starszego mechanika i dwóch marynarzy. Załogę stanowią zawodowi marynarze dalekomorscy, z wieloletnim stażem pracy: klną na czym świat stoi na ciężką pracę i wszyscy marzą o pływaniu we flocie, gdzie można zarobić pięć i dziesięć tysięcy miesięcznie. Płynący z nami pilot portowy, czterdziestoletni

mężczyzna w stopniu kapitana żegluga przybrzeżnej zwiera się otwarcie, że swój kapitański honor chętnie schowałby do kieszeni i gotów jest choćby i szalety czyścić, byle na statku z prawdziwego zdarzenia. Trudno, w Polskich Liniach Oceanicznych nie ma wolnych etatów.

„Jesteśmy opłacani, jako piloci”, nienajlepiej — kończy mój rozmówca i ze złością wkłada na głowę białą, reprezentacyjną czapkę, bo motorówka dobija już do burty olbrzymiej „Sumatry”. Spuszczono trap i pilot już wspina się w górę. Mnie idzie to o wiele trudniej, ale w końcu jestem na pokładzie.

Z tej wysokości pilotówka ze swymi trzema kabinami i wielkim jak szafa Dieslem wydaje się mała, malutka. „Sumatra” cały czas płynie naprzód, szyper kiwa ręką: do zobaczenia w Kapitanacie!

Wdrapujemy się na mostek. Pilot stanął obok sternika, wydaje komendy: „steer bort”



Z WYSTAWY
Stanisława
Mrowińskiego

U góry: „FILOMELA”
Obok: ŁĄDEK-ZDRÓJ



W góry, w góry, mili bracie...

Fot.: M. Myszkowski

(w prawo) i „back-bort” (w lewo), sternik powtarza jak echo „steer bort”, obracają się szprychy koła, statek lawirując mija falochron i zbliża się do nadbrzeża.

Obstąpili nas oficerowie, w przerwach między komendami pilot objaśnia: jak głęboki jest portowy kanał, ile płaci tu za dolara, czy można sprzedać szwedzkie korony, kiedy odbędzie się kontrola celna, gdzie są ładne dziewczynki, czy makler będzie czekał przy nadbrzeżu i ile kosztuje litr polskiej wódki.

Pilot dzieli się doświadczeniami, nie pierwszy raz wypytują go o te rzeczy, hałasuje syrena, pierwszy oficer częstuje nas „Chesterfieldami”, wreszcie cumy rzucone, schodzimy na ład. Obok czeka nasz „Pilot 23”. Szyper podnosi słuchawkę radiotelefonu: „Panie Marcinkowski, zadanie wykonane, wracamy do Kapitanatu”.

Barometr leci na łeb na szyję, będzie burza. Podczas burzy, gdy nawet w zatoce, na redzie, fala jest wysoka i małą pilotówką „zuć” na wszystkie strony, podejście do burty statku stanowi nie lada problem. Kilka miesięcy temu podczas burzy jeden z gdańskich pilotów poniósł śmierć schodząc z statku do motorówki, innemu zderzające się burtami jednostki zmiażdżyły nogę. Barometr leci, będzie burza.

Chłopiec z Szamotuł pełen wrażeń przewraca się na hotelowym łóżku, bruchaty dyrektor dyskutuje o pięknej pracy marynarskiej przy pół czarnej w „Grandzie”, angielski marynarz zawarł znajo-

mość z dziewczyną, która okazała się bezwonnym babskiem, a teraz w „Syrence” pije wódkę na rachunek Anglika. Na okrągłej wieży zapalono światła, pada deszcz, morze szumi niespokojnie: „Panie Marcinkowski, statek na redzie”.

Szyper obraca szprychy koła sterowego, wypływamy po za falochron. Kołysze że hej! — raaz! — w górę, raaz! — w dół, raaz! — leżymy na prawej, raaz! — leżymy na lewej burcie.

Panie szyper, co się dzieje? Jest coraz gorzej, gotów jestem przyznać się do każdej zbrodni; raaz! — w lewo, tak, ukradłem te 100 złotych, raaz! — to było 500 złotych, tylko niech tak nie buja, co pan wyrabia, kochany panie szyper, cholerny panie szyper!

Ale jeszcze daleko: światła! Ale jeszcze daleko: światła! Ale jeszcze daleko: światła! Ale jeszcze daleko: światła!

Pioruny strzelają, w głośniejszym skrzypi pan Marcinkowski: „halo, 23, dacie sobie radę?”. No proszę, to tak wygląda Święto Morza!

Motorówka sześć razy dobiega do burty statku, zanim pilot odważy się na skok w kierunku ledwie widocznego trapu. Nie skacze, bo się boję. Panie szyper, wracajmy czym prędzej za falochron, wolę pięć lat niż jeszcze pięć minut takiej — brrr — huśtawki!

Z daleka mrugają do nas światła na okrągłej wieży, deszcz leje coraz mniej, pan Marcinkowski jest bardzo zde nerwowany.

Chłopcu z Szamotuł śnią się kolorowe bandery i białe sylwetki stateczków na Motł-

wie, w „Syrence” orkiestra przygrywa do tańca, bawimy się wszyscy, bo dziś jest święto. Święto Morza!

Świta. W pokoju pilotów na chwilę zdrzemnął się kapitan, który wolałby myć „szalety”, motorzysta czyści „Diesla” na pokładzie „Pilota 23”, pan Marcinkowski porządkuje papiery. Pogasił latarnie morskie i światła na okrągłej wieży.

Z portu dobiegają gwizdy parowozów przetokowych, kolejka elektryczna wypływa pierwszą grupą robotników portowych dziennej zmiany, z „Syrenki” zataczając się wychodzi angielski marynarz: bez pieniędzy i zegarka wraca na swój statek.

Pan Marcinkowski podnosi głowę: „Słucham, Wydział Usług”. „Halo, tu Gdynia. Na redzie w Gdańsku Norweg prosi o pilota”.

I znów warczy silnik motorówki.

Andrzej BAJKOWSKI

Nikos Chadzinikolau

NAJPIĘKNIEJSZY PRZYSTANEK

Koła samotności poruszane smugą światłocieni stancji przed ogrodem

dzwonek

przed ogrodem liściastych

dzwonek

to był najpiękniejszy

przystanek

chciałem oprzeć głowę

o korzenny zapach wiatru

chciałem oprzeć głowę

o złośliwy warkocz księżycy

gdy

leciutki pocałunek firanki

otworzył okno

i pięciogwiazdowe dłonie

dłonie wyrzeźbionej Afrodyty

wciągnęły mnie do ogrodu

dzwonek

do ogrodu liściastych

dzwonek

to był najpiękniejszy

przystanek

NIEPOKÓJ

Światło półsennej latarni

skacze po zielonobiałych

grzbietach

spienionego morza

krzyk nocey

pełen iskiei i drzeń

ściana wysokopienne drzewa

topi je w przepaści

granatowe chmury

niepokój przesiewają przez

palce

dym załamuje się

i splywa po szkle wiatru

Pagnol w telewizji

Wśród książek

Opowieści niecodzienne

Trzynasta książka, a trzeci tom opowiadań*) Eugeniusza Paukszty wywołuje niespodziewanie żywe i sprzeczne opinie krytyków. Chwali „Opowieści niecodzienne” — choć półgębkiem — Jerzy Ziomek w „Tygodniku Zachodnim”, gani je całą gębą Sławomir Białut w „Tygodniku Powszechnym”. Jednym działem na nerwy — jak powiadają — niedopracowanie artystyczne tej książki, jej ocierające się raz po raz o melodramat i sentymentalizm pointy, drudzy smakują w łagodnym klimacie emocjonalnym „Opowieści”, w występujących często w nich dwóch planach: realnym i fantastycznym, częstokroć pozaziemskim, w tych wszystkich cechach języka i obrazowania Paukszty, które dla przeciwników jego pisarstwa są XIX-wiecznym anachronizmem, a dla zwolenników — szukaniem prostej i bezpośredniej drogi artystycznej do wyobraźni i serca czytelnika.

Książka, o którą się kłóca, na pewno jest interesująca — powiedział kiedyś Irzykowski, a ja dodam: i zmusza do zajęcia wobec siebie wyraźnego stanowiska, do jasnej, niedwuznacznej i osobistej oceny. Otóż — mnie się ostatnia książka Paukszty podoba. Przede wszystkim jako poważny krok naprzód w opanowaniu przez autora „Kartek z Ziemi Lubuskiej” trudnej sztuki nowelistyki, następnie — jako udatne odświeżenie zdawałoby się przestarzałych i skostniałych konwencji literackich, a wreszcie — jako wyjście na przeciw nie tylko gustom, ile potrzebom tak zwanego „szarego” konsumenta literatury.

Ta ostatnia zasługa, której Paukszcie przypisujemy „Opowieści niecodzienne”, ma specjalne, społeczne i socjologiczne znaczenie.

Słynna polska sympatia do skrajności objawia się w normach narzuconych przez krytykę literacką talentom pisarskim i gustom czytelniczym:

dawniej żądano, by dzieło literackie zastępowało w swych elementach niemal wszystkie dyscypliny nauki — od ekonomii do socjologii — obecnie równie apodyktycznie wymaga się od najdrobniejszej fraszki genialnego skrótu wszelkich, najbardziej ekstrawaganczych, a pozujących na nowocześnieść, eksperymentów estetycznych. Innymi słowy: dawniej nie dbano o wyobraźnię przeciętnego czytelnika każąc jej się żywić formułkami np. z podręcznika agrotechniki, a obecnie — nie dba się o nią również i zmusza do rozszyfrowywania najdziwniejszych rebusów i labiryntów literackich. Oto i przyczyna, dla której Paukszta był przed kilku laty za mało schematyczny, a obecnie — jest za mało nowoczesny.

Zapewne, „Opowieści niecodzienne” nie są i nie mogą być książką bez literackiej zmyślności, zbyt różna jest ich tematyka, zbyt podobne — użyte przy jej opracowaniu środki artystyczne. Paukszta łatwo traci cierpliwość przy wykańczaniu swoich utworów, dopina na prędce wątki fabularne, szkicuje zaledwie postacie, a czasem rzeczywiście nie potrafi powstrzymać sentymentalnej łezki robiącej kropkę nad i. Ale jednocześnie ten sam autor „Opowieści niecodziennych” jest jednym z najciekawszych obecnie w Polsce literackich malarzy krajobrazów, posiada czułą wrażliwość na ludzką niedolę, umie wyzyskać do końca wszystko, co jeszcze nadaje się do eksploatacji rzemiosła Jeża, Kraszewskiego, Orzeszkowej i dlatego chwale „Opowieści niecodzienne” — książkę, która pobudza do działania wszelkie narządy organizmu krytyka i czytelnika: od serca — do wątroby i woreczka żółciowego...

Z. PĘDZIŃSKI

*) Eugeniusz Paukszta: „Opowieści niecodzienne”. Poznań 1957. Wydawnictwo Poznańskie, s. 363, 2 nb.

Córka kupca stenografuje

Pochodzenie tego utworu jest niejasne. Autorem książki może być: 1. Anna Jambor 2. autorka przedmowy 3. ktoś trzeci. Całość książki utrzymana jest konsekwentnie w konwencji pamiętnika odsłaniającego najbardziej intymne szczegóły życia młodej dziewczyny, kulturalnej córki z Wąbrzeźna. „Stenogramy Anny Jambor”, które ukazały się nakładem „Iskry” przed kilku tygodniami są pierwszym tomem z wielkiej trylogii obejmującej ok. 2000 stron!

Objętość, znacznie przekraczająca nowoczesną formę krótkiej, zwężonej beletrystyki nowoczesnej — o dziwo — nie nuży. Nie nuży mimo że stenograficzne zapiski bohaterki dotyczą najdrobniejszych szczegółów obyczajowych: tego, co jej otoczenie jada, jak się ubiera, jak mieszka, jak nawiązuje kontakty towarzyskie, społeczne, majątkowe...

Bez żenady bohaterka opowiada o swoich intymnych przygodach, które właściwie nie mają charakteru przygody: są zaplanowanymi według zasad Lutra spotkaniami. Stosunek Anny do spraw erotycznych jest przerażająco cyniczny, bezczuciowy, oparty na egoizmie, w którym nie ma miejsca na sentymenty i wewnętrzne rozklejanie się. Anna jest twarda, wyrachowana, pozbawiona skrupułów, jeśli chodzi o zdobycie w życiu majątku i pozycji. W

pierwszym tomie wygrywa wszystkim posiadane atuty, lecz czy ostatecznie poza majątkiem zdobędzie szczęście? Oto pytanie, na które pamiętnik nie daje jeszcze odpowiedzi. Być może, dadzą odpowiedź następne dwa tomy, które mają się ukazać pod koniec bieżącego roku.

Poza jednak przykuwającą fabułą utworu, istnieje w „Stenogramach” pewne pokrewieństwo z „Komedią Ludzką”. Książka wydana przez „Iskrę” dotyczy bowiem tego samego środowiska, tych samych problemów bilansów, zysków, afer i transakcji, tego samego problemu rozpychania się dorobkiewiczów w „wyższym świecie”. Stąd na pewno płyną asocjacje, na które już zwróciła uwagę „Polityka”. Oczywiście, istnieje różnica w czasie — tych 100 lat. Tym bardziej jednak „Stenogramy Anny Jambor” dla nas nabierają wartości. Po raz pierwszy bowiem ukazał się na półkach księgarskich utwór współczesny, biorący na warsztat międzywojenne kupiectwo, i to specyficzne kupiectwo, w którym zacierają się różnice narodowościowe; Niemców, którzy się spolszczyli, lecz nigdy nie wiadomo, kiedy znów odezwie się w nich pociąg do niemieczyny. Ponieważ zaś akcja rozgrywa się w znacznej części w Poznaniu, można sobie wyobrazić zrozumiałe zainteresowanie naszego czytelnika.

(1)

PIM

Historia zdobycia przez polski ruch oporu materiałów dotyczących pocisku V-1 i przesłania ich do Anglii stała się tematem angielskiego filmu „The Battle of the V-1” („Bitwa o V-1”). Jak wiadomo, partyzanci polscy celem wykradzenia tych materiałów, przedostali się do obozu w Peenemuende, gdzie hitlerowcy opracowywali i produkowali te pociski (pisałyśmy o tym niedawno w „Nowym Świecie”). Główna akcja filmu toczy się właśnie w Peenemuende. Scena na zdjęciu obok przedstawia bohaterów filmu: Tódka (David Knight), Włódka (J. Conrad), Zofię (Patricia Medina) i jej męża, a zarazem dowódcę grupy, przebranego w mundur niemiecki (Michael Rennie). Spodziewamy się, że ten — zwłaszcza dla nas — bardzo ciekawy film wejdzie również na polskie ekrany.

Swoją drogą wstyd, że ta ciekawa historia nie zainteresowała naszych filmowców...

Giulietta Massina wystąpi w filmie prod. NRF „Opera za trzy grosze” według Brechta.

Fernandel grać będzie razem z doskonałym komikiem włoskim Toto w filmie pt. „Prawo jest prawem”.

Grand Prix w dziedzinie literatury dziecięcej we Francji otrzymał P. J. Bonzon. Jury składało się z 14 dziewczyn w wieku od 10 do 14 lat.

Na zdjęciu — laureat i jury.



Wracał od kolegi którego nie zastał w domu, a do którego miał jakąś ważną sprawę. Czas potrafi zatrzeć nieraz w pamięci ślad niektórych zamiarów — dziś nie potrafiłby powiedzieć, co skierowało jego kroki na tę ulicę.

Ciemne okna domu, do którego ma się zamiar wejść, wcale nie nastrojały radośnie, tym bardziej, gdy na dworze dmie przenikliwy wiatr i jest zimno. Wtulił więc głowę w ramiona, ręce wsadził głęboko w kieszenie i długim krokiem szedł w kierunku najbliższej głównej ulicy.

W pewnej chwili usłyszał obok kroki; rzec to na ulicy zwyczajna, nie interesowało go, kto tam za nim, czy obok niego idzie. Zresztą, w głębi kolumny ustawionej na sztorcie, było tak przytulnie, a każde odwrócenie głowy w bok spowodowałoby wtargnięcie nieprzejmownego wiatru. Po kilku krokach — znów nie pamiętał ile; może były trzy, a może dziesięć — przemógł się jednak i zerknął w bok. Najbliższa latarnia, świecąca na skrzyżowaniu ulic, była bardzo daleko; toteż dopiero po chwili rozpoznał w przechodniu kobietę.

Czasem wydaje się, że wpatrujemy się w kogoś przez długi okres czasu, gdy tymczasem czynność ta trwa zaledwie ułamek sekundy. Z nim było prawdopodobnie tak samo — patrzył przez jakiś czas na idącą obok kobietę

Właściwie nie wiadomo, dlaczego nie grało się u nas po wojnie sztuk Marcela Pagnola. Przecież popularność jego była w dwudziestolecu tak znaczna, że każdy niemal teatr w Europie szczycił się sukcesem „Pana Topaza”, „Mariusza” czy „Fanny”. W ciągu kilku lat (mniej więcej 1928—1932) zdobył sobie Pagnol taki rozgłos, że niejedno nawet teatrze pismo głosiło mu tego pozazdrościło. Chyba tylko Remarque, który w tym czasie wydał swoją słynną powieść: „Na Zachodzie bez zmian”, mógł pod tym względem dorównać autorowi „Cezara”.

Komedie Pagnola wywodzą się z tradycji teatru mieszczańskiego. Umiejętność kreślenia postaci barwnych, plastycznych przy bystrej obserwacji środowiska, wysunęły Pagnola wcześniej na czoło współczesnych komediopisarzy. — Swoimi utworami potrafił rozśmieszać i wzruszać do łez, a większość stworzonych przez siebie postaci obdarzył sporą dozą sentymentu. To zjednało mu szerokie rzesze publiczności wszystkich sfer i w tym też leży tajemnica powodzenia jego sztuk.

„Mariusz” należy do najbar dziej reprezentatywnych utworów Pagnola. Cieszył się też chyba największym powodzeniem. Akcja dzieje się w Marsylii i cała komedia prześlągnięta jest atmosferą portowego miasta. Jest to szeroko zakreślony obraz powszedniego życia prostych ludzi: marynarzy, przekupców, mieszczan, ich codziennych trosk, konflik-

tów, wzruszeń i radości. — Wszystko to podane jest w tonie łagodnym, z humorem często nawet rubasznym, co jednak zupełnie nie razi, a wręcz przeciwnie — nadaje uroku.

Osią komedii jest Mariusz, młody chłopak, oświadczył żądza przygód, tęsknotą za dalekimi krajami i egzotyką. Nawet miłość Fanny i czule ojcowskie serce nie będą w stanie odwieść go od powziętego zamiaru. Szamotany przez sprzeczności, nie potrafi wyzwoić się ze swoich tęsknot i marzeń, odjeżdża w daleki świat...

Premiera „Mariusza”, nadana była przez Telewizję Poznańską w dniu 21 czerwca, w reżyserii Henryka Drygalskiego i scenografii Józefa Kaliszana. Reżyser wyszedł z założenia — i chyba słusznie — że w konstruowaniu tego epickiego obrazu, jaki narzuca autor, można posłużyć się wszelkimi dostępnymi w telewizji środkami, a więc wstawkami filmowymi, bardzo ruchliwym operowaniem kamerą, podkładem muzycznym, zbliżeniami, wypunktowaniem pewnych elementów dekoracyjnych itp. Dla wydobycia nastroju portowego miasta, jest to nawet konieczne. Wydaje się jednak, że z pewnością ciekawa koncepcja reżysera nie znalazła przejrzystego odbicia w realizacji i zagubiła się trochę w chaosie, wynikłym prawdopodobnie z nieskoordynowania ruchu kamer z akcją widowiska. Być może, stanęły tu na przeszkodzie techniczne możliwości poznańskiego studia, ale dla widza jest to przecież nieistotne. Jeżeli eksponuje się tak uparcie drugi plan, żeby pokazać panoramę portu czy nawet fragmenty, a widz dostrzeże tylko ledwie zarysowane kontury dekoracji z zupełnie zamazanymi twarzami — to cel chyba nie został osiągnięty; jeżeli w przerwach pomiędzy aktami pokazuje się falujące morze dla spotęgowania nastroju i podbudowania przeżyć bohaterów, a zamiast urzekającego szumu fal, słyszy się sztucznie „dorobiony” plusk wody, to skutek musi być chybiony. Nie mówię już o fatalnych światłach, przesuwających się po horyzoncie cieniach (np. cień latarni), „słonecznej” nocy księżycowej, zniekształconych twarzach... To są chyba istotne sprawy. Stąd też koncepcja widowiska, zakrojona na dużą skalę — rozchodziła się w szwach. Wpłynęło to też nieco na osłabienie aktorskiej strony przedstawienia.

Pod tym względem jednak poziom był na ogół wyrównany, chociaż chciałoby się z reżyserem o niejedno posprzezać, np. zbyt przeciągnięte najsłabszych literacko scen lirycznych: Fanny i Mariusza, nieraz aż do granic me-

lodramatu, gdzie często, zamiast poezji, przemawia ekliwość i banał w rodzaju — „o, jakie piękne jest życie”. Przypuszczam też, że można było wyciągnąć jeszcze więcej efektów ze znakomitego dialogu, na którym właściwie cała sztuka się opiera...

Taki na przykład Cezar. Jakż to kapitalna postać! Soczysta, pełna dobrodusznego komizmu i rubasznosci, w miarę wybuchowa i zadzierzista, częściej jednak łagodna, a nade wszystko sympatyczna. Cezar grał Ignacy Machowski i stworzył bardzo żywą i plastyczną postać. Jego talent aktorski wyraził się np. w scenie z kartami i znakomicie prowadzonym dialogu z Honoryną. Niemala w tym zastąpił i Ewy Dziedziny, jako Honorynę, której temperament aktorski znalazł tu świetne pole do popisu. Dziedzina była chyba najbliższą klimatu sztuki. Janusz Mazanek, rolę sympatycznego dziadka Panisse’a opracował bardzo starannie i przeprowadził konsekwentnie. Miał szereg świetnych scen, chociaż czasem trochę sztucznie brzmiały jego „starcze” gderania. Aleksandra Koncewicz, jako Fanny, była przede wszystkim szczerą i wzruszającą. Piękna to rola w sztuce. Trzeba tu wyrazić różne stadia psychiki: głęboką miłość, rozsadek i praktyczność mienszki.

I wreszcie Mariusz, którego grał Lucjan Wiernek. Najtrudniejsza to rola w sztuce. Czyha tu co krok niebezpieczeństwo melodramatu. Tylko poprzez umiar można ustrzec się sztuczności, patosu i wykręcać trochę poezji. Wiernek czuł się, jakby niepewnie, w swej roli. Bardzo spokojny i swobodny w rozmowach z ojcem, czy Panissem, folgował tam, gdzie ponosiły go łatwizny tekstowe, np. w scenie spotkania z Fanny przy księżycu. Mimo to, wyszedł na ogół obroną ręką i dzielnie dotrzymał partnerom kroku.

—o—

„Mariusz” jest przede wszystkim sukcesem aktorskim. Jeżeli całość pozostawiła wrażenie pewnego niedosytu, złożyło to należy chyba na karb ograniczonych możliwości technicznych Telewizji Poznańskiej. Wydaje się też, że sytuacja taka dyktuje linię repertuarową raczej w kierunku kamedialności, co tak dobitnie uwiarydociło się sukcesem sztuki Szaniawskiego — „Kowal, pień i gwiazdy”.

Szczepan GASSOWSKI

SPOTKANIE

i powoli spostrzegł, że jej sylwetka nie jest mu obca. Ile czasu upłynęło do chwili, kiedy przekonał się, że jest to jego dawna koleżanka — tego nie umiał powiedzieć. Wydawało mu się, że trwało to dość długo — w rzeczywistości dokonało się to jednak na przestrzeni frontonów trzech kamienic.

Rozmowa nawiązała się szybko. Ale nie on był inicjatorem. Nie chciał, czy nie umiał — obojętne. Dość, że od uścisku dłoni, który wymienili się sobą na powitanie, dziewczynie nie zamykały się usta. W chwili, gdy ona mówiła o tym, że jej chłopca wzięto w połowie stycznia do wojska, dostrzegł w wyobraźni swoje własne kłopoty, związane z pobytem w jednostce wojskowej. Na krótko — bo zaraz wspomnienie uleciało. Rozmawiali dalej, w głosie, jej dosłyszal teraz jakąś smutną nutę.

Jasne. Skoro ktoś odchodzi na trzy lata, to wcale nie jest wesoło. Zresztą i jemu też było niewesoło. Za kilka dni wiosna — co prawda na razie tylko kalendarzowa, ale za nią i ta właściwa przyjdzie — trzeba by jakieś buty kupić, jakąś kurtkę... W kieszeni dwadzieścia złotych i żadnych wido-ków na bliski zarobek.

Opowiadała właśnie o koncercie symfonicznym. Kiedy pracował, nie miał czasu chodzić. Czasem i do późnej nocy siedział w urzędzie. Służba nie drużba — mówił, a po cichu liczył, że kiedyś wreszcie się wszystko unormuje i wówczas jego dzień pracy też

będzie wynosił osiem godzin i pójdzie posłuchać Czajkowskiego.

Kiedyś, gdzieś w rok po zakończeniu wojny, kiedy jeszcze żyła matka i kiedy chodził do liceum, poszedł raz z kolegami na taki koncert. Dzisiaj już nie wiele z niego pamięta, ale może, gdyby usłyszał te utwory, rozpoznałby je... Kto wie...

Ani nie zauważył, jak doszli do przystanku tramwajowego. Tak już zawsze bywa, że akurat ten tramwaj, na który się czeka, nie przyjeżdża. Jednakże im bliżej była chwila pożegnania, tym bardziej chciał przedłużyć rozmowę. Dzisiaj nie potrafiłby już powiedzieć, co pchało go do takiego właśnie postępowania. Z niepokojem spoglądał na iskrzącą się światłami jezdnię i kiedy dostrzegł, że nadjeżdżający tramwaj nie ma na tablicy czwórki, oddychał z ulgą.

Nie trwało jednak długo i oto czwórka wyłoniła się z mroku. Uściskał ciepłą i delikatną rękę dziewczyny. Zgięła w tłumie oblegającym pomost. Stał na przystanku, dopóki tramwaj nie ruszył, a później, ponownie wcisnąwszy głowę w ciepłe objęcia koleżanki i wsadziwszy ręce do kieszeni, długim krokiem ruszył w kierunku domu.

Stanowczo nie warto wspominać. Szczególnie wtedy, gdy siedzisz sam w pokoju, którego jedynym meblem jest żelazne, połowe łóżko; gdy słyszysz jak radio za ścianą gra koncert fortepianowy, który przypomina lata młodości i gdy ostatnie dwadzieścia złotych zamieniłeś na butelkę, która teraz pusta ponieważ się w kacie. Stanowczo nie warto...

Aleksander WOJCIECHOWSKI

Z Johannesburga do Polski

Prof. dr Stefan Krupko, kierujący Zakładem Botaniki Ogólnej Uniwersytetu w Poznaniu, 18 lat spędził na emigracji — przeważnie w południowej Afryce.

Lata te rozpoczęły się w r. 1939 od pobytu w Rumunii, na Cyprze oraz w Palestynie, gdzie, na zaproszenie uniwersytetu hebrajskiego, pracował nad materiałem botanicznym, przywiezionym z Cypru. Owoc tych badań, prof. Krupko ogłosił w 3 rozprawach, które wydrukowało Tow. Przyrodnicze im. Kopernika w Tel-Awivie.

Dalsza droga prowadziła do Johannesburga. Tam prof. Krupko prowadził prace badawcze na Uniwersytecie Witwatersrand i wykładał anatomie i cytologię roślin oraz mikologię.

— Jak wyglądała studia wyższe w tym dalekim kraju?

— Unia Południowo-Afrykańska — mówi prof. Krupko — jest państwem dwujęzycznym, o równych prawach: holendersko-burskim i angielskim. Każdy z tych sektorów posiada swoje odrębne szkolnictwo. Istnieją więc 3 uniwersytety angielskie: w Cap Town, w Natalu i w Johannesburgu oraz 3 burskie: w Stellenbosch, w Pretorii i w Potchefstroom. Angielskie przyjmują wszystkich studentów, burskie — dostępne są tylko studentom pochodzenia europejskiego. W Johannesburgu kończy roczne studia (przeważnie medyczne) około 100 Murzynów, poza tym pewna ilość Chińczyków i Hindusów. Uniwersytety w tym kraju obejmują wszystkie gałęzie wiedzy, z technicznymi włącznie. Najliczniejszych słuchaczy posiadają w Johannesburgu wydziały: medyczny i górniczy. Ten ostatni zwłaszcza jest doskonale wyposażony. Ziemia ta jest bardzo bogata (diamenty, złoto, mangan, platyna, węgiel, uran). Uniwersytety są tu instytucjami społecznymi, posiadającymi własne źródła dochodów z dotacji i zapisów i są tylko subsydiowane przez rząd.

— Czy publikował pan profesor jakieś prace w Afryce?

— Owszem, kilka, z dziedziny — cytologii i embriologii roślin.

— A czy może mi pan profesor coś powiedzieć o tamtejszej Polonii?

— Polski element reprezentowany jest przez 3 fale emigracji. — Pierwszą była garść obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, która tu przybyła przed wojną i właściwie już prawie zapomniała języka, okazała jednak dużo żywotności dwóm następnym falom, które napłynęły później. W czasie wojny przysyłano tu żołnierzy chorych lub inwalidów, na kurację i dla odpoczynku, a po wojnie, w trzecim rzucie przyjeżdżali Polacy-emigranci, dla stałego już osiedlenia się, z rozmaitych krajów imperium brytyjskiego. Kolonia Polska liczy około 1.000 osób — wszystkim powodzi się bardzo dobrze. Prócz mnie, było tam jeszcze 7 innych naukowców. Trzech z nich pracuje na Uniwersytecie w Cap Town. Polski element skupia się w Związku Osadników Polskich i Związku Inżynierów i Techników Polskich.

— A co skłoniło pana do powrotu?

— Po prostu, tęsknota za krajem i chęć złożenia kości w Ojczyźnie. Tam byłem już niepotrzebny, a tu jeszcze mogę się przydać.

Rozmawiała:
Amelia ŁACZYŃSKA

Jan i Ignacy Cieślakowie z żonami, będąc w Borku u krewnych, dowiedzieli się o wystawie regionalnej w Gostyniu. Specjalnie pojechali ją zwiedzić. Jeden z nich w książce pamiątkowej zapisał: „Urodziłem się na Ziemi Gostyńskiej, w rejonie Biskupizny. Od 30 lat mieszkam na Górnym Śląsku... Dziś zwiedziłem wystawę i podziwiałem wraz z gośćmi piękno regionu naszego powiatu. W pamięci zostaną mi niezatarte wrażenia”.

Wystawa nie odbiega w koncepcji swojej od typowych wystaw regionalnych. A więc stroje biskupian i publikacje na temat zwyczajów tej okolicy, rzeźby amatorów-artystów z arcymistrzem i ostatnim z szeregu „złoty rąk” — Jędrasem Majchrakiem na czele. Trzeba tu jeszcze wymienić hafty i to kolorowe, wyszywane i malowane — jako nowość w stroju biskupiańskim, niektóre to przepiękne dzieła rąk Zofii Nowak z Domachowa.

Zwiedzający zatrzyma się niewątpliwie przy fotografiach Gostynia, Zofii Żmudzkiej, córki nauczyciela z Pudliszek, która pierwsza w tej części Polski odważyła się usiąść na... rower. A oto szereg



Kącik Kola Filatelistycznego obejmuje znaczki z całego świata.

niezwykle uroczych akwarel! Nie, to nie akwarele! Przypatrzmy się im bliżej — to obrazki starego Gostynia, złożone z kolorowego papieru przez p. Woźniowską. Są i dzieła nieżyjących artystów-malarzy — wychowanka tutejszego gimnazjum, Wacława Boratyńskiego — projektodawcy 32 serii przedwojennych znaczków pocztowych, Ludwika Lehra, Kaz. Mycielskiego i innych. Jest to, jakby podsumowanie dorobku, a właściwie pokaz skarbcza kulturalnego miasta i powiatu.

Na wystawie widać również działalność społecznej ośrodka. Zaczniemy od Kasyna Gostyńskiego sprzed stu laty, poprzez Towarzystwo Czytelni dla Kobiet, założone w 1907 roku. Potrafiło ono organizować życie kulturalne, wybudować własny dom (obecnie Pow. Biblioteka), szerzyć oświatę. Dalej — pracowite i ambitne swego czasu Fredrum, wydawnictwa: „Gazeta Gostyńska”, „Głos Gostyński”, „Ziemia Gostyńska”, „Kronika Gostyńska” i obecne „Echo Gostyńskie”. Uwzględniono i udział w Powstaniu Wielkopolskim, gehennę w II wojnie światowej. Ogląda się tu nie tylko fotografie, kopie, ale również autentyczne dokumenty.

Do ciekawych eksponatów zaliczyć trzeba mapy południowej części województwa sprzed stu laty, mapę dawnych połączeń



pocztowych, odbicia wszystkich dotychczasowych pieczęci poczty gostyńskiej i koperty listów, przychodzących z zagranicy do Gostynia. Okazuje się, że Gostyń koresponduje z całym światem, bo nawet z Chinami, USA, z Australią i innymi egzotycznymi dla nas krajami. Niewątpliwie, filatelista zainteresuje list z Górki do Smolic z r. 1741, z Wrocławia do Podręczca z r. 1834, a przede wszystkim dokument nadania pieniędzy z roku 1852.

Ekspонатów wszystkich jest 677; złożyło je przeszło 60 ofiarodawców-institucji i obywateli Gostynia i powiatu. Życzył tylko trzeba, aby wystawa stała się załącznikiem Muzeum Gostyńskiego, o którym mówi się już od wielu lat...

J. P.

P.S.: Zwiedzającym wystawę regionalną w Gostyniu przypominam, że Dom Kultury, w którym się ona mieści, jest także swego rodzaju eksponatem. To dom-imigrant. Zakupiony został w Staniach Zjednoczonych, potem w Żabikowie pod Poznaniem pełnił funkcję szkoły rolniczej, pojechał z kolei do Gostynia, gdzie gościł brat kurkowi, był i gospodą, wreszcie został i zaawansował do stopnia Domu Kultury!



Biskupianka na Wystawie Regionalnej w Gostyniu.

Fot. (3): K. Przychodzki

Ciekawe próby

automatycznego sterowania na odległość

Czy samochód może naprawdę sam chodzić?

Samochody są i błogosławieństwem i przekleństwem nowoczesnej cywilizacji. Pozwalają człowiekowi poruszać się i być niezależnym od publicznych środków lokomocji; jednak — przy wzrastającej powszechności — tworzą konkretne niebezpieczeństwo. Prowadzenie samochodu przez dłuższy czas jest wyczerpujące, zwłaszcza przy dużych szybkościach. Jak wiadomo, napięcie uwagi u kierowcy jest na ogół wprost proporcjonalne do szybkości prowadzonego samochodu. A więc najbezpieczniejsze są jazdy „normalne” (50—60 km na godzinę). Z drugiej strony, jeżeli sens miałby pojazd, jeżeli na trasie np. 500 czy 600 km trzeba by jechać około 50—60 km na godzinę, skoro bez szkody mechanizmowi, samochód może posuwać się o wiele szybciej? Byłoby to zaprzeczeniem celu istnienia samochodu, który ma przede wszystkim zaoszczędzić czas.

Aby zapewnić całkowite bezpieczeństwo jazdy na dużych trasach, naukowcy przystąpili do pracy nad „cybernetycznymi samochodami”, zdalnie sterowanymi, które byłyby, jak to Niemcy mówią — „idiotensicher”, co w wolnym tłumaczeniu oznacza, że samochód może prowadzić „każdy głupi”. Jak to ma wyglądać?

Wyobraźmy sobie taką scenę: wielki, wygodny wóz wjeżdża na dwutorową autostradę. W głośniku, umieszczonym pod tablicą rozdzielczą, miły, żeński głos zapowiada: „Znajduje się pan na drodze automatycznie sterowanej. Proszę włączyć sterowanie elektroniczne. Po nadaniu przeciągłego sygnału, aparatura zacznie działać...”. Kobięcy głos milknie, rozlega się sygnał. Szybkośćomierz wskazuje bez mała 150 km na godzinę, a kierowca odwraca się do współpasażerów, sięga do teczek, wyciąga dwie talie kart... „Mamy trzy godziny czasu. Zrobimy roberka?”.

Wszystkie przeszkody zostają ominięte. Każdy zakręt pokonany. W razie jakiegokolwiek, najdrobniejszego defektu, samoczynnie włączają się hamulce. Cybernetyczne sterowanie pojazdu jest bezpieczniejsze niż kierowanie „indywidualne”.

Taka próbna trasa czynna jest w USA, w pobliżu miasta Lincoln, w stanie Nebraska. Warto tu zaznaczyć, że problem podróży samochodem na dużych trasach jest szczególnie właściwością w USA — i dlatego właśnie tam najwięcej się pracuje nad cybernetyką w dziedzinie motoryzacji.

Zasada działania polega na umieszczeniu pod powierzchnią szosy kabli i urządzeń nadawczych oraz zainstalowaniu odpowiednich urządzeń odbiorczych w samochodzie. Każdy mechanizm (gaz, ster, hamulec, sprzęgło) ma własne odbiorniki impulsów. Niezależnie od niego istnieje system ostrzegawczy. W odpowiedniej odległości przed

przeszkodą „niezaplanowaną” (stojące pojazdy, naprawa szosy, przechodzący ludzie itd.) zapala się na tablicy rozdzielczej czerwone światło, rozlega się sygnał ostrzegawczy lub odzywa się głośnik: wówczas kierowca musi wyłączyć automatyczne sterowanie i uchwycić kierownicę osobiście. Jeśli tego w ciągu kilku sekund nie uczyni — włączają się samoczynnie hamulce i pojazd zostaje zatrzymany. — Możliwe jest również takie rozwiązanie, że przeszkoda zostaje wyminęta bez udziału kierowcy, a sygnał ostrzegawczy wymaga tylko od niego uwagi, by w razie potrzeby „pomógł” automatem (na ostrym zakręcie np. samochód może wpaść w poślizg). Automat może bowiem zastąpić człowieka — ale nie w każdym wypadku.

Takie autostrady przyszłości — być może, nie będą jednak potrzebne! Nie wiadomo przecież, w jakim kierunku rozwinię się motoryzacja. — Kto wie, czy wówczas, gdy budowa takich tras stanie się opłacalna — nie będziemy się poruszać helikopterami i samochodami odłożymy do lamusa... (jl)

Pisarz, który przepowiedział zagładę „TITANICA”

Angielskie czasopismo literackie „Poems” omówiło niedawno powieść zapomnianego pisarza angielskiego Morgana Robertsona. Pisarz ten wydał w roku 1898 powieść fantastyczną, będącą niemal dokładną przepowiednią katastrofy słynnego transatlantyku „Titanic”, który zatonął w roku 1912 po zderzeniu z górą lodową.

A oto garść szczegółów z książki Robertsona:

Okręt, któremu w powieści kazał zatonąć Robertson po zderzeniu z górą lodową (!), nazywał się „Titan” (!), miał 800 stóp długości („Titanic” — 882 stopy), 70 tys. ton wyporności („Titanic” — 66 tys. ton), był statkiem trzypokładowym („Titanic” — to samo), miał zabierać 3 tys. pasażerów (to samo), natomiast miał tylko tysiąc miejsc w szalupach ratunkowych (to samo!), był statkiem, który „nie może zatonać” (taka sama fama towarzyszyła „Titanicowi” po wodowaniu), a zatonął w noc kwietniową, mając na swych trzech pokładach największych bogaczy świata (to samo!).

Jak zapewne pamiętają starsi Czytelnicy, na pokładzie „Titanica” do ostatniej chwili grała orkiestra. Poeta angielski nie umiał sobie tego wyobrazić...

Robertson nie doczekał katastrofy „Titanica” — zmarł w roku 1911. (jh)

Termometr na 12 pięter skonstruowany został dla Międzynarodowej Wystawy w Chicago. Wysokość tej gigantycznej budowli wynosi 65 metrów, skala ma 45 m. długości.

Nowego odkrycia dokonali oceanografowie: na wielkich głębokościach oceanów zdarzają się kolosalne fale, o wysokości dochodzącej do stu metrów. Fale te są niezauważalne na powierzchni.

Według zestawienia sporządzonego przez Muzeum Botaniczne w Berlinie, istnieje w Europie środkowej szereg roślin, które mogą służyć do przepowiadania pogody.

Jeśli np. nagietek otwiera swój kielich ok. godz. 9 rano i nie zamyka go do godz. 16 — należy

oczekiwać suchej i ciepłej aury. Odwrotnie — pogoda będzie zła, jeśli kwiat pozostanie zamknięty. Podobnie pracuje „jako meteorolog” zwykła polna koniczyna.

Nowy cenny lek — oxyteracynę produkują Krakowskie Zakłady Farmaceutyczne. Jest to antybiotyk (znany na świecie pod zastrzeżoną nazwą terramycyny) stosowany wówczas gdy zawodzi leczenie innymi znanymi antybiotykami. Działa on skutecznie w przypadkach tyfusu brzusznego i powrotnego, czerwonki, półpaśca (dotychczas odpornego na wszystkie antybiotyki), przy chorobach wenerycznych, przy tularemii i pionię.

„Auto - Cudo” to przydomek „Pragi V3S” — sa-

mochodu ciężarowego produkcji czechosłowackiej — nadany mu przez... Tybetańczyków podczas prób samochodu w najcięższych warunkach terenowych. Samochody te odbyły propagandową trasę po-



przez pustynię Gobi oraz olbrzymie góry chińskie aż do Lhasy, przejeżdżając ponad 6 000 km i pokonując wysokość 4000 m nad poziomem morza. Wytrzymały ponad 45-stopniowe upały na pustyni i śnieżne zawieruchy w rejonach wysokogórskich, 200 razy prze-

jeżdżali w bród przez rzeki.

W obserwatorium astronomicznym w Kioto (Japonia) zbudowano zegar atomowy, który w ciągu 300 lat będzie się spóźniał zaledwie 1 sekundę. Zegar ten umożliwi astronomom dokładniejsze obliczenie obrotów ziemi.

Radzieccy inżynierowie zaprojektowali nową rewelacyjną maszynę-kombajn, tnącą roślinność na dnie jezior i sztucznych mórz. Pływający kombajn, zaopatrzony w potężne skomplikowane piły, będzie ciął rośliny pod wodą i wyrzucać je na powierzchnię.

W Niemczech Zachodnich ukazał się w sprzedaży biały węgiel i białe brykiety.

Biała farba, która służy jako substancja klejąca pył węglowy, powoduje jednocześnie lepsze rozpalanie węgla.

Urządzenie do wytapiania szkła przy użyciu prądu wysokiej częstotliwości zbudowali leningradzcy specjaliści. Nowe to urządzenie nadaje się szczególnie do wyrobu szkła trudnopalnego, które cechuje się jednorodnością i wysokim współczynnikiem przezroczystości. Opracowano także projekt pieca szklarskiego do wytopu szkła optycznego.

Komisja populacyjna stolicy Czechosłowacji ogłosiła statystykę za pierwsze miesiące br. Wynika z niej, że n. każde 100 zawartych małżeństw — rozwodów było aż 53



...ach, jak mnie pragnienie pali!

(Mickiewicz — „Dziady”)

Szczęście czy pech?

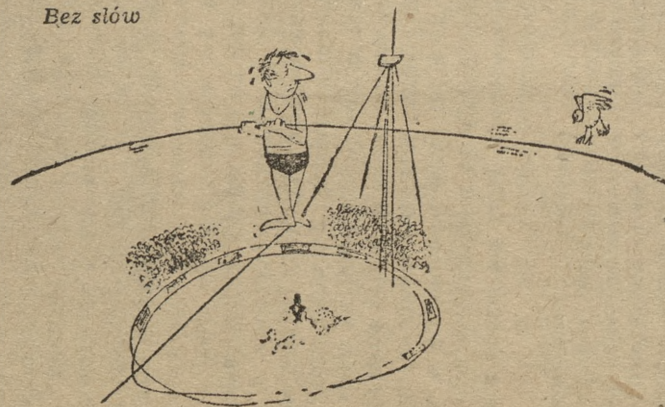
Szczęście — niestety — bar-
dzo dziwnymi i tajemnymi
drogami chodzi. Ba, żeby to
wiedzieć jakimś... Poszłoby
się szybko naprzeciw.

Młody desperat, mieszkań-
iec Walencji (Hiszpania) —
Gonzales Garcia który posta-
nowił przerwać swe, zbyt pe-
łne utracone, życie — spotkał
szczęście w okolicznościach
zupełnie nieprawdopodobnych.
Widząc przejeżdżającą ciężar-
ówkę rzucił się pod jej koła.
Bystry kierowca skręcił
gwałtownie i wpadł na dom,
uszkadzając samochód. Gar-
cia, w ucieczce przed roz-
wścieczonym szoferem, rzucił
się pod drugą ciężarówkę.
Jednak i ten szofer w ostat-
niej chwili zahamował, sta-
czając się wraz z wozem do
rowu. Teraz już Garcie gonili
dwaj poszkodowani. On zaś
dosłodził stojącego w pobliżu
konia, pocwałował na naj-
bliższy most, przywiązał linkę
do bariery, głowę włożył do
pętli i wyskoczył. Zdążyli go
w porę odciąć dwaj przechod-
nie, którzy odwieźli go do
szpitala. Lekarz stwierdził
„lekkie zaburzenia w oddycha-
niu i zadrapania szyi”. Poli-
cja zaś oskarżyła Garcie o
uszkodzenie samochodów.



— Daj pan napiwek i idź zjeść
gdzieś ludzi — to jest jedyna
rzecz, którą panu mogę polecić.

Bez słów



Historia prawdziwa!

O bezczynnej motopompie, podrażnionej ambicji rycerzy św. Floriana i o tym, co z tego wynikło

Malchów leży w odległości
dwunastu kilometrów od Ślawa-
na, powiatowego miasteczka
w województwie koszaliń-
skim.

Od szeregu lat w okolicy
tegoż Malchowa nie wybuchł
ani jeden pożar. Czerwony
kur ku nieklamanej radości
PZU z daleka omijał zaciszną
wieś, a chłopcy wraz z kome-
ndantem na próżno szorowa-
li kredą swe błyszczące
kaski.

Pewnego dnia do Malchowa
nadeszło pismo, podpisane
przez Powiatowego Komen-
danta Straży Pożarnych ze
Ślawna.

„W związku z długoletnim
brakiem pożarów na terenie
gromady Malchów, niniej-
szym zarządza się likwida-
cję będącej w Waszym po-
siadaniu motopompy na
rzecz Powiatowej Komendy
OSP Ślawno”.

Istotnie: jeśli dotychczas nie
było pożarów, prawdopo-
dobnie i w dalszym ciągu ich
nie będzie! Rozumowanie ta-
kie nie trafiało jednak do
przekonań malchowiaków.
Kartka zapowiadała moralną
klęskę: straż bez motopompy,
to żadna straż! Z drugiej stro-
ny rozkaz rozkazem, cios był
więc dotkliwy i niespodziewa-
ny. Toteż niezmierna była ra-
dość strażaków, gdy — dobre
bogi tak widać czuwały — w
kilka dni po otrzymaniu pi-
semka w Malchowie wybuchł
prawdziwy pożar!

Zadzwiećwał radośnie dzwon,
radośnie zawracał silnik moto-
pompy, dwunastu strażaków —
rzecz by się chciało: z usmiechem
na ustach — biegiem przybyło na
miejsce, z sikawki radośnie siknę



Nowy model skutera „Cezeta” — produkcji CSR (oglą-
daliśmy go na MTP)

ła woda, zasyczały płomienie —
pożar ugaszono.

Dobrzy bogowie nie byli,
być może, zupełnie pewni, czy
jeden pożar wystarczy dla
uratowania motopompy, toteż
okazali się nadzwyczaj hojni.
Co kilka, co kilkanaście dni,
to tu, to tam skwierczały bel-
ki gospodarskich zabudowań,
strażacy gasili, zaś Komen-
dant Powiatowy, chcąc nie
chcąc — musiał anulować
uwolniające pismo.

W ciągu kilku miesięcy pożary
przyniosły 250 tys. zł strat, miej-
scowi gospodarze przestali sy-
pać po nocach, z siekierami w
dłoniach pilnując swych domostw.
Wreszcie ta podejrzana obfitość
ognia po latach „nieurodzaju” —
zainteresowała milicję.

Już po trzecim pożarze do
Malchowa przyjechało kilku-
nastu milicjantów i wtedy
właśnie wybuchła bomba! Milicyjni eksperci stwierdzili
(w przynajmniej osiemdzie-
sięciu procentach) wypadki
podpalenia! Kierownik ekipy
porucznik z komendy woje-
wódzkiej, tylko głową kręcił,
podziwiając fachową rękę
podpalacza.

Tymczasem bogowie najwi-
doczniej się zawzięli. Nie po-
rwały zasadzki i poszukiwa-
nia, wciąż gdzieś coś się pa-
liło.

Wszystko jednak ma swój ko-
niec i pewnej nocy funkcjonariu-
sze z triumfem odprowadziły na
posterunek przyłapanego „in
flagranti” podpalacza.

Jakież było zdumienie
licznie zebranych przedstawi-
cieli miejscowego społeczeń-
stwa, gdy w schwytanym roz-
poznali... jednego ze swych
strażaków! Oczywiście cho-
dziło o uratowanie motopom-
py. „Nie tylko ja jestem wi-
nien” — bronił się — „mia-
łem współpracowników”. I tu padły
nazwiska... dwóch innych
strażaków!

Honorowa sprawa moto-
pompy trafiła wreszcie przed
oblicze sądu, który biorąc pod
uwagę wszystkie honorowe
okoliczności łagodzące, z nie-

zaponnionym piśmkiem pana
Komendanta włącznie, wydał
wyrok łagodny i sprawiedli-
wy: raz cztery, dwa razy po
trzy lata więzienia.

Oczywiście — motopompa
na zawsze pozostała w Mal-
chowie.

Niepocieszony był tylko poruc-
znik, ekspert od pożarów. „Niech
pan sobie wyobrazi” — zwierzał
się na pożegnanie — „że oni wznie-
cając pożary, wykorzystywali do-
świadczenia, zdobyte na specja-
lnym strażackim kursie, który ja
niegdyś osobiście prowadziłem”.

(ab)



KWIATKÓW — maleń-
ka wioska niedaleko Ostro-
wa Wlkp — już w r. 1458
wymieniona w spisie miast.
K. tytułuje się miastem
jeszcze w r. 1635, chociaż
już w tym roku był zwy-
kłą wsią... Mieszkał tu Mi-
kołaj Kolnicki z wierną mu
połowicą Jadwigą. Siła ro-
bocza składała się z dzie-
siątki „robotnych”. Miesz-
czanie robili na pańskim
po 2 i 3 dni.

KIELKOWO I KIELPI-
NY — obie wsie w pow.
wolsztyńskim. Pierwsza w
r. 1245, a druga w r. 1259



W czasie trwania VII Szybów-
cowych Mistrzostw Świata w Le-
sznie Wielkopolskim, zorganizowa-
no również pięć lotów pocztu szyb-
owcowego.

Opatrzono specjalnymi nalepką
mi listy, przewożone były szybko-
cami do rozmaitych miejscowo-
ści, a następnie już normalną dro-
gą pocztową trafiały do adresata.

Start do pierwszego lotu odbył
się 18 czerwca br. i tegoż samego
dnia, szybowiec „Bocian” dotarł
do Ostrowa Wlkp. (patrz list na
zdjęciu).

Szybowiec, wiozący pocztę dru-
giego lotu, wystartował 24 VI br.
i wylądował w Żydowie k. Gniez-
na. Trzeci lot odbył się na trasie
Leszno — Zmigród koło Milicza
w dniu 26 VI br. Pocztą czwarte-
go lotu natomiast dotarła dnia
28 VI do Gostynia.

Ostatni piąty lot odbył się już
po zakończeniu mistrzostw. Prze-
syłki pocztowe tego lotu przewo-
dziły dość długą drogę, i w
dniu 1 lipca br. wylądowały w
Warszawie.

Warto dodać, że w czasie inau-
guracji mistrzostw, wystartował z
pocztą balon „Poznań”, który w
dniu 15 VI br. dotarł do Ścin —
wioząc w swej gondoli kilkaset
przesyłek, opatrzonych specjalną
nalepką szybocową z nadrukiem
„Balon Poznań”.

mgr L. K.

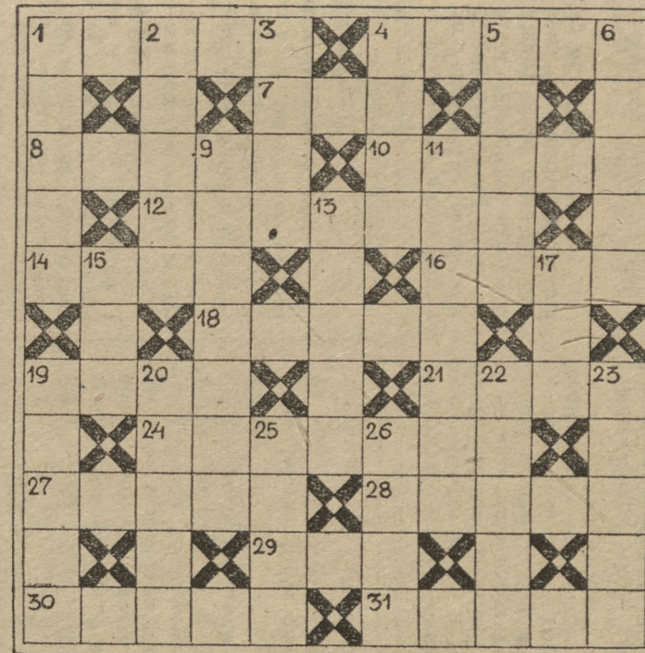
Krzyżówka

w ukl. L. Rudkowskiego

Poziomo: 1 — umiż, pieszezo-
ta; 4 — huragan, tropikalna bu-
rza; 7 — czarnoksiężnik; 8 — u-
rządzenie do oświetlenia; 10 —
ornament architektoniczny w
kształcie liścia; 12 — hazardowa
gra w karty; 14 — urok, piękno;
16 — gatunek, rodzaj; 18 — imię
żeńskie; 19 — przegub, połączenie
kości; 21 — ryba słodkowodna;
24 — ostona od słońca; 27 — w
muzyce: cicho, delikatnie; 28 —
gwiazdozbiór Zodiaku; 29 —
podkład malowidła; 30 — witka,
pręt; 31 — krzew.

Pionowo: 1 — klująca część ró-
ży; 2 — taniec pochodzący z Ku-
by; 3 — jeden ze zmysłów; 4 —
pies gończy; 5 — zabezpieczenie
okna; 6 — nie, osnowa; 9 — za-
słona; 11 — robak domowy; 13 —
roślina ozdobna, kwitnąca tylko
raz w ciągu swego istnienia; 15 —
litera fonetycznie; 17 — produkt
mleczny; 19 — żołnierz z oddzia-
łów inżynierskich; 20 — francu-
ski „łobuziak”; 22 — likier kmin-
kowy; 23 — konar; 25 — dawny
szwadron wojskowy; 26 — nagłe
zaburzenie funkcji organizmu.

Wśród autorów poprawnych roz-
wiązań (termin nadsyłania do 10
bm.), zostaną rozlosowane nagro-
dy książkowe.



Luiza Rivelli, włoska
pieśniarka i tancerka, ak-
torka filmu i telewizji, pa-
sjonuje się m. innymi grą
na gitarze.

Fot. - CAF



CO
BY
BYŁO

GDYBY
ADAM
BYŁ:

POLAKIEM

... Złożyłby CZEJZDWZID
czyli Centralny Zarząd Handlu
Jabikami z Drzewa Wiadomo-
ści Złego i Dobrego.

— FRANCUZEM

... uszyłby Ewie torebkę z
wężowej skóry.

ROSJANINEM

... drogą krzyżówki wegeta-
tywnej otrzymałby nową, wy-
dajną odmianę jabłoni.

— SZKOTEM

... miałby węża w kieszeni
i w ten sposób Ewy nie miałby
kto skusić.

HINDUSEM

... zakładałby węża i urządził
głodówkę, odmawiając spoży-
cia nawet jabłka. W ten spo-
sób chociaż mężczyźni byłiby
w raju..

WŁ. SCISŁOWSKI



zostały nadane klasztorowi
w Obrze.

KOMOROWO — to wła-
ściwie przedmieście Wol-
szyna, istnieje już w XIII
wieku.

KOPANICA — miastecz-
ko nad Obrą. W r. 1245

wtargnął w te strony ksią-
żę śląski Bolesław i nad
jeziorem wybudował gród,
który zdobywać musiał z
polecenia Kazimierza Wiel-
kiego Maćko z Borkowic
w r. 1338.

W r. 1408 Jagiello utwo-
rzył tu nową parafię. Oto
uposażenie proboszcza: 2
łany ziemi, ogród, łąka, 1
rybak i co tydzień wiertel
mąki pszennej z młyna,
kopa drewna na barcie, dzie-
sięcina z Kopanicy, Kargo-
wej, Chwałima, Jaromie-
rza i Wąchabna. Posadka,
jak się okazuje — nie naj-
gorsza.